

Charon z rozstaja dróg

Śnieg sypał coraz gęstszy i gęstszy, białe strzępki już zaczynały czepiać się jeden drugiego i oblepiać szyby, ale nagle wiatr podniósł się od zboczy Góry (słysząc go było jak szpera, grzebie, plądruje na zapleczu), jednym ruchem odsunął wątle zasłony, odsłaniając ażurowe lodowe firany i uderzył z całej siły w okna, zaraz potem jeszcze mocniej w ciężkie drzwi, zły, że wpuszczają go tylnym wejściem (czy i to aby na pewno?) a nie od frontu, trzymają gdzieś w komorze i nie pozwalają sprawdzić, kto to dziś wieczorem stanął na rozstajach, kto kupuje w sklepiku starej Marty i co – cukier, sól, popołudniowy chleb czy flaszkę taniej gorzałki, i czemu tak późno, czemu nie wcześniej, za dnia; kto siedzi w sąsiedniej izbie, w gospodzie u Henryka, jej brata, suszy nogi przy kominku, co pije – piwo z sokiem korzennym czy grzane wino, i co zamówił do jedzenia, może zbójnicki placek, może kwaśnicę, a może nic, bo tylko rozgrzać się przyszedł i na jednego, solidnego wstąpił, i dlaczego właściwie nie został w domu, w tę zimową styczniową zawieruchę? (bo teraz to już ani chybi zadymka będzie, a nawet zawieja, już on, wiatr, się o to postara).

Jakże go więc – u diabła, a kysz, a kysz – tutaj traktują, jego, wiernego, dobrego służkę Góry, który tu na rozstajach najważniejszy i donosi Jaśnie Pani o tym, kto wybiera się w dolinę lub jeszcze dalej i wyżej (swoich od obcych bez trudu odróżniając, rzecz jasna), który pracuje pilnie i razem z tym leniwym (niestety), wiecznie zmęczonym śniegiem albo obojętnym na wszystko, znudzonym (cóż począć), rozkapryszonym deszczem pilnuje mostu i drogi i przynajmniej przeszkadza jak może, jeśli już nijak nie poradzi śmiałka przestraszyć i odegnać. Swoich także czasem umęczy, nie można powiedzieć, że nie, ale ci już zwyczajni i z pokorą jego rządy przyjmują.

O, akurat ktoś wychylił głowę za drzwi, pewnie to Marta, która popatruje, czy stopnie przed domem nie są zbyt śliskie lub jakiś sopel nie zwisa spod okapu zbyt chybotliwie. Tak, nie pierwszy to raz przychodzi mu sprawdzać to i tamto; zwyczajna w sumie rzecz rozejrzeć się pod wieczór po okolicy, na przykład w gospodzie i w sklepie, jak tu mówią: kolonialnym (fakt, zaniedbał się ostatnio i już parę tygodni tutaj nie zaglądał), przy czym ważniejsza dla niego jest ta ni to gospoda, ni bar „Przed Górą”, zwana też „Ostatnią Wieczerzą” (rozumie się – przed zagłębieniem się w dolinę), do której wchodzi się i od pola, i przechodząc przez sklep, a w której rządzi Henryk, sterując zza kontuaru niby z mostka rozważnie i pewnie niczym kapitan barki, co rzeką pływa. Można tu posłuchać, o czym sobie ludziska gadają, co na wątrobach siedzi, co w butach uwiera, czy na Górę zbytnio nie pomstują, że zbyt wielki

ziąb przynosi, albo za długo nad okolicą chmury czarne, kłębiaste przytrzymuje, można złapać trochę nowin ze świata. Można przywarować na chwilę jak pies podwórzowy, tuż przy podłodze, by ludziom chłód dokuczliwy poszedł po nogach (niech wiedzą, że się tu dostał, choć tak się bronili), potem rozejrzeć się czujnie po sklepie, obejrzyć po raz sto pięćdziesiąty i pięty wszystkie worki, woreczki, z cukrem, kaszą, jęczmienną, jaglaną i gryczaną, ryżem, białym i brązowym, ziemniakami, przyjrzyć się słojom, słoikom, słoiczkom z przyprawami, ogórkami, rodzynkami, suszonymi morelami, śliwkami i daktylami, landrynkami, pralinkami, cukierkami w papierkach, lizakami (ten słoik z czerwonymi słodkościami trzeba kapkę przesunąć, jego miejsce bardziej z prawej, tuż koło wgłębienia na Marty okulary), pomyszkować w skrzynkach i skrzyneczkach z łagodnymi, cichymi jabłkami słodkimi i krzykliwymi, rozgadanyimi jabłkami kwaśnymi, a wszystkimi leżącymi równo w czystej i pachnącej słomie (tę słomę trzeba zburzyć, ale tylko po wierzchu, ot tak, dla hecy). Można tak patrzeć i patrzeć bez końca, zaglądać do szuflad, buszować po półkach, w proszkach, płynach, pastach, ołówkach i kredkach, potrząsać buteleczkami i flakonikami, skakać między hakami z chudymi, podpartymi pod boki kielbasami i skrępowanymi za nieposłuszeństwo tłustymi szynkami, mieszać w gazetach i kolorowych pismach, odwracać kartki grubego, poplamionego kajetu w twardych okładkach, w którym Marta zapisuje, co przywieziono, a co się sprzedało albo zepsuło, można nawet zakraść się do kieszeni jej półkożuszka, potem zakreć koniuszek końskiego ogona jej bielejących już włosów, można.... Ale, skoro już się wszystko widziało i nikogo tu nie ma (poza samotną Martą, tkwiącą smętnie za ladą), czas już odpłynąć w kierunku gospody, gdzie można rozplątać się, rozprostować, rozprężyć, owinać sennie parę razy wokół komina, pociągając starego kocura za ogon, niechże się posunie, ba – rozmarzyć się i pomyśleć o ciepłym słońcu i jasnej polanie Mikołaja i Idy, z miękką wysoką falującą trawą i młodymi brzoźami o liściach wiotkich i tak bojaźliwie drżących, że trzeba się przez nie przesuwac łagodnie i delikatnie. Cóż, nieźle jest też przefrunąć, przemknąć (byle prędko i ostrożnie) między żarzącymi się drewnkami kominka, w górę, w dół i znów w górę, uważając, żeby pan Henryk (nie wiadomo co takiemu przyjdzie do głowy) nie przymknął akurat teraz szklanych drzwiczek i nie złapał w niewolę nędzną, z której tylko brudnym kominem droga na świat prowadzi.

Marta zamknęła szybko drzwi wejściowe, jakież ten wiatr od Góry dziś przenikliwy, jaki dokuczliwy. Jakoś zimno się naraz zrobiło, choć po południu dobrze napalili, a i dom na zimę został solidnie opatrzony. Zabrała kasetkę z utargiem, zeszyt z zapiskami, przygasila światło i poczłapała do brata. Nic już dziś nie sprzeda, kto by tam nos wysuwał na taką śnieżycę. Już

po siódmej, ludziska w domach drzemią w fotelach i na kanapach, i udają, że ich nowiny w telewizji ciekawią. Lepiej więc posiedzi trochę z bratem i panem Piotrem, księgarzem, który sący piwo przy barze, przepijając je małymi łyżkami mocnej orzechowej nalewki, jego ulubionej, po prawdzie dla niego tylko trzymanej, wypyta o nowiny w szkole panią dyrektor i tę drugą nauczycielkę (widać, z wywiadówki niedawno wyszły i jeszcze im głowy parują, jak ta kawa w porcelanowych filiżankach, które Henryk postawił przed nimi na stole), a może przysunie krzesło do tych wesołych gości, dwóch pań i trzech panów, pewnie wczasowiczów z „Hotelu nad Czarną”, którzy już drugą godzinę przy długim stole pod oknem posiadają i chyba nieźle zamawiają, bo brat co i raz polewa im do kieliszków, to białą, to kolorową, nawet drinki z palemkami robi i często podchodzi do kuchni, gdzie rewir ma Lucynka, ich gruba, wesoła kucharka, która jak żadna inna potrafi przygotować pieczonego oscypka z żurawiną, a nawet kociołek węgierski z kładzionymi kluseczkami, a która czasami zostaje na noc, gdy ostatni autobus już odszedł i samej strach iść do wsi, ale o to Marta wcale nie jest zła, bo rozumie, że brat to jeszcze kawał chłopca, a noce teraz chłodne i samemu cknę się czasami. Jej też bywa niesporo, ale kto by tam... Ale – spojrzała na jeszcze jednego klienta – na pewno nie zagada do tego ponuraka, fotografa z gazety, który patrzy tępo w ścianę i sący piwo z butelki. Z butelki. To chyba fotograf z tej nowej gazety. Z butelki, mój ty Jezu.

– A cóż to, Marto, już zamknęłaś swój sklepik? Chodzisz spać z kurami? – gwizdnęło, świsnęło i tuman srebrnoskrzącego się śniegu wpadł do gospody.

Razem z nim wsunęło się do pomieszczenia coś nieokreślonego, drażniącego, niepokojącego. Ludzie przy długim stole zamilkli i zastygli, pan Piotr pokiwał tylko głową i dopił szybko kieliszek nalewki („jeszcze jeden, Henryku, jeszcze jeden”), nauczycielki popatrzyły po sobie i wróciły do cichej rozmowy, fotograf westchnął ciężko i niechętnie spojrzał na prawie pustą butelkę. Bury kot parsknął gniewnie i wskoczył na belkę pod powalą.

– Tamte drzwi już zawarte, a ja po sprawunki przyszłam – młoda kobieta rzuciła na ławę duży, wypchany plecak i otrzepała kurtkę. – I coś na wymianę przyniosłam. Pohandlujemy jeszcze? Szkoda by mi było tej godzinnej wędrówki z góry. Śnieg już ponad kostki. Za chwilę będzie po kolana. I wiatr się zerwał – odkręcała się wolno z długiego szalika. – Coś on dzisiaj nerwowy, ten mój wiatr-braciszek. Mówi mi teraz, że mu wzbraniacie wstępu, a on tylko chce się ogrzać i zaraz sobie pójdzie. Witaj, Henryku – kiwnęła głową w stronę kontuaru. – Mam tu coś, nie zgadniesz! – wyjęła z plecaka przezroczystą płaską flaszkę, napełnioną do połowy. Potrząsnęła nią i spojrzała na płyn pod światło. Od ścianek oderwały się setki świetlistych pęcherzyków i pobiegły w górę. – Jak widzisz, udało mi się – powiedziała z triumfem. –

Trzecia próba zaliczona – zaniósł się głośnym śmiechem. Spoważniała, podeszła do Henryka i głęboko spojrzała mu w oczy. – Chcesz, to wierz, chcesz – nie wierz. Czarna woda z mrocznego źródła. Ze stromej ona turni spływa wprost w odmęty płacznego Kocytu. Orzeł dumny, orzeł drapieżny, ptak królewski dopomógł mi ją zdobyć. Pora więc na próbę czwartą, ostatnią, tak – zawahała się – ostatnią, ale o tym potem. Goście się? – rozejrzała się po małej sali. – Nalej i mnie wódki, Henryku. Tej z pieprzem. I zaparz mi kawy. Bez mleka i cukru, jak zwykle. I dajcie mi kawałek sera dla Lucjusza. To człowiek zaklęty w zwierzę. Chcecie, to wierzcie, chcecie – nie wierzcie. Słabo nadstawialiście uszu w najcichszą noc w roku.

Usiadła przy wolnym stole i zaczęła wyjmować z plecaka drewniane świątki, małe obrazki malowane na desce temperą, prostą biżuterię z agatów. Spojrzała niezbyt przychylnie na tę swoją kolekcję i wzruszyła obojętnie ramionami:

– Jak zwykle. Obrazek trzydzieści, świątki: piętnaście i dwadzieścia, kolczyki, broszki, zapinki – małe... – ukloniła się grupie wczasowiczów, którzy w dalszym ciągu siedzieli bez ruchu – małe są, więc po dziesięć; a może dzielni panowie wezmą coś dla pięknych pań? Bez pośrednictwa karczmarza wyjdzie taniej. Broszki tym razem wyjątkowo mi się udały. Bo kolczyki są do niczego.

– Zjesz coś, Ido? – Marta przysiadła obok niej na ławie.

– Najpierw Lucjusz – kobieta rozchyliła poły kurtki, spod swetra wysunął się siwy pyszczek polnego szczura. Kot spacerujący po belce tam i z powrotem obserwował scenę z niepokojem. Ida podała szczurkowi spory kawałek żółtego sera i ostrożnie przysunęła do siebie kubek z gorącą kawą. – Zjem ryż z warzywami – zwróciła się do Marty: – W rozliczeniu za to badziewie wezmę karton papierosów, pół litra tego płynnego pieprzu, zieloną herbatę, kawę, koniecznie ziarnistą, bundz i co tam jeszcze macie, mydło chyba, aha, mały młynek, bo stary się zepsuł. Więcej mi nie trzeba, a i to zanadto... Przyślijcie mi z rana chłopaka z mąką i ryżem. Niech nie pomyli się tym razem. Mąka ma być żytnia, a ryż długoziarnisty, niełuskany. Niedużo, dwa woreczki. Przygotować się muszę.

– Jest list do Ciebie – Marta podała jej dużą białą kopertę. – Zabierasz, czy jak zwykle?

– Jak zwykle – dziewczyna bez zainteresowania spojrzała na adres wypisany dużymi, wyraźnymi blokowymi literami. – Możesz rozpalić nim jutro w kominku. Pieniądze oczywiście wyjmij i daj dyrektorce na szkołę. Może pan Piotr dostarczy im za to z niedużym rabatem trochę książek? Jakies poezje? Poezje są dobre na małomiasteczkową nudę. Nuda boli bardziej niż ząb.

Dyrektorka szkoły uśmiechnęła się, a stary księgarz nie odwracając się na barowym krześle, skinął głową.

– Niezła jest także muzyka. Muzyka daje wgląd w samą istotę rzeczy. Czemu tu tak cicho? Mikołaj lubi grać na flecie. A ja lubię go słuchać – Ida dziobała kolorowy ryż, który postawiła przed nią kucharka Lucyna. – A teraz do rzeczy. Marto, czy masz dla mnie te dwa placki? Świetnie – schowała do bocznej kieszeni worka dwa nieduże okrągłe placuszki, zawinięte w folię. – Jeszcze miedziaki.

Obracała w palcach dwie monety, które wyjęła ze skórzanego mieszka, który podała jej sklepikarka.

– Mogą być. Masz więc jeden z nich – położyła miedziaka na stole i przesunęła go wolno, ceremonialnie w stronę Henryka. – Drugi... drugi potem. No, na mnie czas. Ona czeka – podniosła się, wepchnęła pod kurtkę głowę szczura, który ciekawie rozglądał się po sali, specjalnym zainteresowaniem obdarzając kota, coraz bardziej poirytowanego. – Napelnijmy plecak, Marto.

Przystanęła w progu, odwróciła się.

– Komu w drogę... Jak spotkam się w końcu z moim Kupidyńcem, moim Mikołajem, powiem mu, że byliście dla mnie dobrzy. Na pewno was nagrodzi. A ty, mój bracie, idziesz czy zostajesz?

Gwizdnęło, świsnęło, niepewnie zakręciło śniegiem w drzwiach.

– Mam iść sama?

Wyszła. Kot prychnął, zeskoczył na podłogę i schował się za węglarką.

– Nie podoba mi się to wszystko. Tym razem naprawdę czuję niepokój i martwię się o nią – Marta stała przez chwilę nieruchomo, patrząc na drzwi, które zamknęły się za dziewczyną; w końcu usiadła przy barze obok Piotra. – A może panikuję, jak zawsze. Słuchaj – skinęła na brata, który z ponurą zawziętością płukał filiżanki, szklanki i kieliszki – przestań wreszcie, bo działa mi to na nerwy i też nalej mi tej choleralnej pieprzówki. Może ona mi coś podpowie?

Od długiego stołu podniósł się wysoki mężczyzna. Podszedł do baru.

– Jesteśmy tu obcy i właściwie nie powinno nas to obchodzić, ale... ale ta pani, ta pani, która właśnie wyszła, miała w oczach... coś, coś było w jej oczach. I nie tylko w oczach. Czy to dobry pomysł pozwalać jej wracać tam, skąd przyszła? Moja znajoma – wskazał na jedną z towarzyszących mu kobiet – rozpoznaje w niej pewną znaną jej kiedyś osobę. Czy nie była to...?

– Była. Pana znajoma nie myli się – Henryk zakręcił wodę i zaczął przecierać naczynia. –
Ida Lipińska. Ale to już nie jest Ida – poprawił się: – Jest i nie jest.

Wytarł ręce, zdjął fartuch, zapalił papierosa, wyszedł zza kontuaru i krzyknął do Lucynki: –
Dziecko, podaj nam do stołu dzbanek wina, tego, co go trzymam w piwniczce na najwyższej
półce. I zrób nam jajecznicę na boczku. Zapraszam wszystkich na mały poczęstunek. Na
koszt firmy. Szanowny panie, proszę mi pomóc zsunąć te stoły. Marto, połóż nowy obrus.
Panie, jakże pan ma na imię? Irek? Panie Irku – skinął na samotnie siedzącego mężczyznę –
proszę do nas dołączyć. Pije pan też wino? Doskonale. Będzie wieczór opowieści. Bardziej
dla nas niż dla was. Chyba inaczej nie potrafię się z tym uporać. Pyta pan, czy to dobry
pomysł wypuszczać ją w tę zawieruchę? Nie ma na to rady, drogi panie, nie ma na to rady –
zakaszał, zduślił papierosa w popielniczce. – Jak udało ci się rzucić palenie, Piotrze? Ja nie
potrafię. Dołożę jeszcze do ognia, co tu tak zimno? Nie ma przecież dużego mrozu. To
pewnie wiatr tak wszystko przewiewa. Tak, to przez ten wiatr. Bo przecież nie z powodu Idy?

„Ida. Widziała pani zapewne jakiś jej film? Ten o bezdomnych dzieciach? Poruszający.
Ważny. Też go widziałem. Aaa, była pani na przeglądzie... Tak, Ida to wschodząca gwiazda.
Gwiazda, która ledwo weszła – już zaszła. Jak letnia Wenus; nawiasem mówiąc Wenus w tej
opowieści ma swoją rolę do odegrania. Ale po kolei. Joanno – zwrócił się do jednej z
nauczycielek – proszę mi pomóc obsłużyć gości. Wino jest niemieckie, spod samej granicy
francuskiej, od mojego dawnego przyjaciela; takiego cabernet sauvignon na pewno nie
piliście i chyba nigdy pić nie będziecie.

Mikołaj – ta opowieść będzie także i o nim, od niego się w każdym razie zaczyna – Mikołaj
przybył tu do nas przed trzema laty. Skąd – nikt nie wiedział i do tej pory nie wie. To trochę
tak, jak z tobą Piotrze. Jakie to ma znaczenie, gdzie kto się rodził... Pokręcił się chwilę i kupił
mały kawałek polany pod Stromą Turnią wraz ze starą, walącą się chałupą. Mało kto tamtędy
chodzi, bo to na uboczu i żaden szlak tamtędy nie prowadzi, a Turnia od zawsze jakąś grozę
w ludziach budziła. Sama Góra mało przyjazna ludzkiemu stworzeniu, co dopiero Turnia i jej
ostre skały. Dzisiaj też miejscowi omijają tę okolicę (o, panie nauczycielki na pewno nigdy
tam nie były, prawda? prawda). A jak tam jest pięknie! Gdy w odpowiednim momencie
skręcisz w głąb lasu ze ścieżki, co trawsem biegnie od domu Sobótki do starej poręby i
przeskoczysz strumyk – wyjdiesz na niedużą nachyloną ku zachodowi polanę. A na niej
cuda! Latem trawa tam bujna jak łan zboża, idziesz, a jakbyś przedzierał się przez jaki busz i
o maczecie myślisz. Górą ptaki przelatują tam i z powrotem, tam i z powrotem, jakby
cerowały skarpetę, na dole co i rusz potykasz się o zającą, czasami widać przemykającego się
chyłkiem lisa, można wypatrzeć ostrożną sarnę, a nawet zderzyć się z dzikiem, bo u dolnego

skraja polany kępa buków wyrosła. Słońce krąży nad polanką, ledwie jej dotykając, to zahaczy tu, to tam zaczepi, jakby nie śmiało wtargnąć w jej życie zbyt obcesowo, zbyt nachalnie. Cień bardziej jej pasuje niż blask, więc słońce zagląda tam tylko późnym popołudniem, gdy promienie już nie takie ostre, gdy już tak nie kaleczą. Chłód tam stale panuje i stąd stara nazwa kotlinki: 'Zimnik'. Ale mało kto już tę nazwę pamięta i raczej 'Pod Turnią' ludzie to miejsce nazywają, bo gdy mocno zadrzeć głowę – znad wysokich smreków czubek skał patrzy na ciebie z uwagą. Wtedy nieswojo się robi, nawet mnie, starego chłopca, ten widok zawsze poruszał i jakiś mróz mi po plecach chodził. Są takie okolice na Ziemi, które od zarania dziejów wiedzą, że przyjdzie taki czas, kiedy jakiś ludzki los się w nich dopełni i czekają, czekają cierpliwie. Jesienią za to na polanie świetlne etiudy i mazurki grają brzozy i osiki, czasami przyłącza się do nich kilka starych jabłonek, podpierających chatę (nie wiadomo tak naprawdę, kto tam kogo wspiera) i wtedy jest jakoś weselej. Weselej, bo urodziwie jest zawsze. I zimą, i wiosną, i latem.

Takie to miejsce wybrał sobie Mikołaj do nowego życia; dom trochę odremontował, ale nie za bardzo, ot, żeby dach nie przeciekał, a piec kaflowy grzał jako tako i coś zagotować potrafił. Ściany w kilku miejscach pakułami uszczelnił i nowe deski nabił, komin cegłami uzupełnił, podcementował, naprawił stół, zbił zydel i proste łóżko, kupił trochę najbardziej potrzebnych rzeczy i sprzętów – garnki, materac, pościel. Takie tam. Coś niecoś dostał od nas i od innych. Piotr dał mu jakieś książki i lichtarz. Pamiętasz ten świecznik, Piotrze? Ani tam wody bieżącej, ani prądu. Warunki surowe, życie twarde. Chyba miał jakieś pieniądze, ale nie za dużo, bo zakupy zawsze oszczędne robił, tak z tygodnia na tydzień albo i rzadziej. Mięsa żadnego nie kupował, mleka też, ani sera. Koło chałupy posadził trochę jarzyn, ale w tym mroku niewiele mu mogło urosnąć. Robił piękne świątki z drzewa, mchu i korzeni; zacząłem to od niego brać w komis, a gdy okazało się, że się ludziom podoba – również kupować. Odwiedziłem go raz i drugi, kiedyś z Martą i Lucyną urządziliśmy sobie majówkę na polanie; niechętnie przyjmował te wizyty, więc nie narzucaliśmy się zanadto. Jaki był? Odludek, to już mówiłem. Łagodny i chyba dobry człowiek. Kiedyś spytała go Marta, czy nie brakuje mu kogoś bliskiego, kogoś do kochania (pamiętasz, Martuś?). Powiedział, że pragnień to on już się wyzbył, bo z nich tylko ból się rodzi i cierpienie, w ogóle ten świat, jego zdaniem, to nie najlepszy pomysł, więc daliśmy spokój i o nic go już nie pytaliśmy. Coś było kiedyś w jego życiu co go zraniło? Wielka to musiała być rana, skoro takie sobie życie umyślił. Wielka rana albo wielkie o świecie myślenie. Szczurka polnego tylko sobie za kumpla dobrał, tego, co go tu z Idą widzieliście, chociaż kiedyś mi powiedział, że od kiedy są razem, to niespokojny jest i denerwuje się stale, no i rzeczywiście przybiegł kiedyś nocą do Marczuka, naszego

weterynarza, po jakieś leki dla zwierzaka, bo mu się zdawało, że szczur ma infekcję, zakażenie. Zakażenie, mój ty Boże. Gdybyśmy...

Jak wino? Nie za cierpkie? Czekajcie, uzupełnię kieliszki. No, zjedzcie teraz jajecznicę. Jedzcie, jedzcie, a weźcie sobie marynowanego grzybka; grzyby sam zbieram, jest tu kilka takich miejsc, niedaleko stąd – rydze same do koszyka wchodzą.

Minęły dwa lata. Mikołaj zżył się z nami, a my, poniekąd, z nim. Przyzwyczailiśmy się, że niecałą godzinę drogi stąd mieszka ktoś, kto świat wziął w nawias, komu wystarcza rzeczywistość ograniczona do małej, cienistej polany, chaty z dachem przeciekającym trochę przy ulewnym deszczu, do ogrodu i warzywniaka, gdzie rodzą się małe, kwaśne jabłka i karłowata marchew, a które nie są w stanie wyżywić nawet krasnoludów. Komu starcza świat istot zredukowany do małego zwierzątka z długim nagim ogonem, para zdziwaczałych właścicieli małego dyszącego z trudem sklepu i niewielkiej, ledwie zipiącej gospody na rozstaju dróg, księgarz, weterynarz... Czy kogoś pominąłem, Martuś?

Wtedy zjawiła się Ida. Nikt nie napisał tego scenariusza. Niedobrze, bo nie ma teraz kogo obwiniać. Może byłoby nam łatwiej, gdybyśmy kogoś takiego mieli?

Była późna jesień, przedzimowe ni to, ni sio. Gdy rozum nakazuje siedzieć w domu, pić herbatę z konfiturą i rozmyślać o czymś przyjemnym, ciepłym, pogodnym. A tu deszcz zmieszany z pierwszym mokrym śniegiem, dokuczliwy, zaskakująco dokuczliwy chłód, krótki, cholera jaki krótki, czemu tak krótki dzień. Po co w taką pogodę wybrała się w góry? Czemu sama? Dlaczego w rejon Góry, znanej złościcy, omijanej o tej porze nawet przez wytrawnych turystów? Jak to się stało, że nadepnęła z taką mocą na wystający, jeszcze przecież dobrze widoczny, ale piekielnie śliski korzeń (czemu, psiakrew, wyrósł spod ziemi właśnie tutaj?), co nie mogło skończyć się inaczej, jak przejmującym bólem w całej stopie, promieniującym aż do kolana? Czemu nie naładowała dobrze telefonu komórkowego przed wyjściem na wycieczkę i telefon akurat teraz odmówił współpracy? Ale – z drugiej strony – jaka jest szansa, w cywilizacji zwana prawdopodobieństwem, że samotny człowiek w wielkim, pustym, obcym lesie, poruszający się prawie po omacku, bo już zmierzch idzie przez wykroty, gdy mylą się kierunki, a szlak, który dopiero co wiódł prosto w dół, w kierunku ‘Hotelu nad Czarną’ (tak, tak, właśnie tam...) spotka drugiego, jeśli nie przyjaznego, życzliwie usposobionego do świata i ludzi, ‘brata-łatę’, to przynajmniej skłonnego udzielić jakiej-takiej pomocy? D r u g i e g o c z ł o w i e k a. Mikołaja.

Trzy dni spędziła w jego chacie (akcja ratunkowa w rejonie Góry trzeciego dnia szła już na całego). Noga przestała boleć i można było z pomocą owego drugiego człowieka dokuśtykać w dół do drogi. To są fakty zarejestrowane. Od korzenia do drogi w dolinie. Fakty

niezarejestrowane sprawiły, że Ida wróciła na polanę po paru tygodniach. Nie sędzę i tak samo uważa Marta, aby za drugim razem Mikołaj od razu przyjął ją na kwaterę. Myślę sobie, że wyrzucił Idę, nie zważając na to, co wcześniej zaszło lub zająć mogło w chacie 'Pod Turnią' w czasie tamtych trzech dni i dwóch nocy. Czy czekała na zmianę decyzji, śpiąc na strychu? Czy siedziała skulona całą noc przed wejściem do chaty? Jedną, dwie noce? Czy coś jadła, coś piła? Czy poszedł w końcu do niej, przykrył kocem i pogładził po włosach?

Zamieszkali więc razem.

Dokupili trochę rzeczy i sprzętów. Takie tam. Coś niecoś dostali od nas i od innych. Piotr dał im drugi lichtarz. Pamiętasz tamten drugi świecznik, Piotrze? Ida przywiozła jakieś kartony, farby, do świątków doszły obrazki, z czasem biżuteria. Agatową kolekcją zainteresowały się córka i synowa Czarmańskiego, naszego olchowieckiego artysty-malarza, które w Radzyniu mają niewielką galerię. Dalej nie było na polanie ani wody bieżącej, ani prądu, bo niby skąd się miał naraz wziąć? Warunki surowe, życie twarde. Chyba mieli jakieś pieniądze, może ciut więcej niż miał sam Mikołaj, ale nie za dużo, bo zakupy zawsze oszczędne robili, tak z tygodnia na tydzień albo i rzadziej. Przyjechał tu kiedyś jakiś człowiek, jej ojciec chyba. Spotkali się na moście, rozmowa trwała z pół godziny, ten człowiek przyszedł potem do naszej gospody, zjadł obiad, siedział i siedział, chciał chyba o coś zapytać, ale powstrzymał się i wyjechał. Nigdy go już nie widziałem. Przyjechały też dwie koleżanki Idy, Nora i Elwira. Rozważna i romantyczna. Opowiedziały nam coś niecoś o Idzie, co robiła, kim była, zapytały o drogę i wdrapały się na górę; próbowały chyba przekonać ją do powrotu, ale niczego nie osiągnęły i obrażone, choć wypoczęte i pięknie opalone przez wiatr, wyjechały po paru dniach. Od nich znamy te szczegóły o wypadku Idy. Co? Masz rację, Marto, były zazdrosne. Czy o Mikołaja?

Mięsa żadnego nie kupowali, ale teraz Ida brała trochę mleka i sera. Myślała o kozach i nawet blisko już było ubicia transakcji z Sobótką, no ale... Koło chałupy posadzili wiosną nowe warzywa, ale cień nad polaną leżał jak dawniej i znów niewiele urosło. Ida założyła niewielki ogródek, w którym ozdobne słoneczniki nerwowo kręciły głowami w poszukiwaniu ich starszego brata. Z Martą i Lucyną poszliśmy tam którejś letniej niedzieli; bez radości przyjęli te odwiedziny, patrzyli tylko na siebie, mówili tylko do siebie, choć jakoś tak smutno, więc postanowiliśmy się nie narzucać. Jacy byli? Dla nas obcy, dla siebie chyba bez sentymentów i czułości. Kiedyś spytała ich Marta przekornie, czy się kochają (pamiętasz, Martuś?). Odpowiedziała jej wtedy Ida. *Point de réveries*. 'Żadnych złudzeń'. Więc jak to z nimi było? Sam już nie wiem.

Latem chyba ktoś ich nazwał – czy nie ty Piotrze? – ‘Amor i Psyche’ i tak się przyjęło. Teraz też, gdy o niej myślę – to tylko ‘ta nasza Psyche’. Idzie chyba spodobało się, że tak o nich mówią (prawda, że piękni byli oboje) i odtąd szczer był Lucjuszem, a wspominając Norę i Elwirę nie mówiła już o nich inaczej niż – ‘te moje dwie starsze siostry’. I że ‘powinna na szczyt Turni je zaprowadzić, skąd na pewno Zefir łagodnie zniesie je na ziemię. Ha, ha’. Ale nie powinno się kusić losu. Świat zatacza wielkie koła, ale zawsze coś się pokręci, coś poprzestawia. Nie powinno się kusić losu, nie należy grać mu na nosie.

Minęło pół roku. Przyzwyczajaliśmy się, że godzinę drogi stąd mieszka dwoje ludzi, którzy świat mają za nic, którym wystarcza rzeczywistość ograniczona do cienistej polany, chaty otoczonej sadem, z małym ogródkiem i skromnym warzywniakiem. Świat tylko mój i twój. Pod koniec lata Mikołaj trochę zaniemógł; przekonany przez Idę, niechętnie, bo niechętnie, udał się na badania do olchowieckiego szpitala. Tę część historii wszyscy w miasteczku znają, więc ograniczę się do suchej relacji. Nic poważnego nie stwierdzono, ale wyrostek robaczkowy wydawał się panom lekarzom powiększony i napełniony czymś zgoła niepotrzebnym, zaordynowali więc rutynowy zabieg, ‘tydzień i do domu, byle nie dźwigać nic ciężkiego przez dwa-trzy miesiące...’.

Nikt nie wie, skąd to się wzięło. Podobno medycyna nie zna odpowiedzi, dlaczego się to rodzi, co jest przyczyną: wirus, bakteria, pasożyt czy grzyb. Ostra posocznica, inaczej sepsa, zakażenie wewnętrzne całego organizmu. Gorączka, szybki puls, krwotok wewnętrzny. Próbowano różnych lekarstw, podano antybiotyki, białko C, ale nic nie pomagało. Piątego dnia był cały opuchnięty, ciało pokryły czerwone plamy, a gałki oczne miał obrzęknięte. Nikogo już nie rozpoznawał, przewieziono go do Radzyna, gdzie po tygodniu zmarł.

Ida nie przyjęła do wiadomości, że Mikołaj nie żyje. W tym czasie mieszkała u nas, w pokoju gościnnym, ale tak naprawdę cały czas przesiadywała w szpitalach, najpierw tu, potem w Radzynie. Po śmierci Mikołaja od razu wróciła do siebie na górę i nie pojawiła się na jego pogrzebie. Pochowaliśmy go po cichu tutaj, na tyłach cmentarza; ksiądz proboszcz nie robił przeszkód, porządny z niego chłop, chociaż jaki tam był z Mikołaja katolik... Kiedyś spytałem go o te sprawy, spojrzał na mnie, *tat twam asi* wymruczał, jeszcze coś o gaśienicy, co z liścia na liść przechodzi, więc dałem spokój; każdy ma swoją ścieżkę, jeden na Górę Czaszki, drugi ośmioraką, trzeci tylko pod swoje nogi patrzy. Jeśli on przy racji jest, to jeszcze kiedyś mają szansę się spotkać. *Om.*

Ida przyszła po tygodniu zasępiąca, z pytaniem, czyśmy gdzieś Mikołaja nie widzieli, bo jakiś czas temu wyszedł na obchód Góry i już się zaczyna o niego martwić. Zmęczona była, buty całe oblepione błotem, włosy mokre, widać, że zaczęła go szukać. Podrzuciliśmy jej

trochę jedzenia i obiecaliśmy dać znać, gdy tylko czegoś się dowiemy. Myślałem: napisać do tamtego człowieka, czy nie napisać. Nie napisałem. Za dwa, trzy dni Ida przybiegła z radosną nowiną, że Mikołaj odnalazł się, leży złożony chorobą, niegroźną, ale ona dostępu do niego nie ma, boska Matka bardzo o niego zatroskana, o jej, Idy, piękne liczko zazdrosna, a w ogóle ich związkowi przeciwna, choć to bogini miłości przecież. Poprosiła mnie tylko, żebyśmy przygotowali po ćwierć kilo jęczmienia, prosa, maku, ciecierzycy (Boże, skąd tu wziąć ciecierzycę?), soczewicy i bobu. A wszystko razem ma być zmieszane i do jednego worka wrzucone, ona zaś ma potem to wszystko sama rozdzielić. Takie pierwsze zadanie dostała od owej matki jej ukochanego Kupidyna-Amora. Przyniosła za parę dni sześć woreczków, ziarenka przebrane, każdy rodzaj osobno, ani jedno obce do innego się nie zaplątało. ‘Mróweczki mi w tym pomogły, sama przecież nie dałabym rady’. Jak Kopciuszek. Potem przyniosła nam pokazać kosmyk owczej wełny, złotego runa, które od owiec dzikich, szalonych pochodziło, co w gaju nad brzegiem rzeki dzień w dzień się pasą, i na odchodnym rzuciła nowiną, że już niedługo ze swoim Kupidynem się spotka, tylko wszystkie zadania musi wykonać, dwa już za nią, pora zatem na trzecie, trudne, okropnie trudne. To trzecie, jak widzieliście, też wykonała. Wodę z Turni przyniosła”.

– Więc teraz czas na czwarte polecenie, ostatnie – pan Piotr przechylił kieliszek, wino zakotysało się łagodnie. – Trzeba zejść do pałacu Orkusa i w szkatułce przynieść odrobinę urody samej Persefony. Dostałeś miedziaka, Charonie, przewiozłeś ją przez rzekę podziemną. Placki da teraz psu olbrzymiemu, co ma trzy głowy, jeden idąc tam, a drugi z powrotem. Po wizycie w pałacu, która też wymaga nie lada odwagi i ostrożności, chciwcowi przewoźnikowi dać musi drugi pieniążek i jeszcze na koniec bacznie uważać, aby przez zbytnią, kobiecą ciekawość nie zajrzeć w szkatułkę, bo sen sprowadzi na siebie, sen, z którego może już się nie obudzić. Ale tak będzie, jeśli...

– Jeśli?

– Jeśli naprawdę planuje powrót, Henryku. Ponieważ nie zabrała z sobą drugiego miedziaka. Moneta leży tu na ławie, spójrzcie, czy to nie ta sama?

Pora się zbierać, tamci już się rozeszli, Henryk, Marta i pan Piotr też chyba ruszają w drogę. Więc czas na i na niego. Szkoda, bo tak tu ciepło i przytulnie. Nawet do tego durnego kota, co tak ciągle mruczy przez sen, można się przyzwyczaić. Przemknie jeszcze prędiutko przez wszystkie izby, niech wiedzą, że on, wiatr, był tu z nimi przez cały wieczór. No, wystarczy, teraz kominem, skok przez rzekę, uważając przy tym, żeby czego złego w starej

olszynie nie zbudzić i dalej na Górę. Cicho, cichutko i niech ten głupi śnieg już nie pada. Trzeba się spieszyć, spieszyć. Szybko, szybko. A w gospodzie tak było ciepło, przytulnie.

*... I dziewczyna obydwie wyciągnęła dłonie
I usta doń zbliżyła, by go zmóc na chwilę
Budda skinął. Śmierć przyszła. Fruwały motyle¹*

¹ Bolesław Leśmian, *U wód Hiranjawati – nad brzegiem żaloby*.